



Fundacja
Aleksandra Kwaśniewskiego
AMICUS EUROPAE

Biuletyn OPINIE FAE
nr 16/2013

Tomasz OTŁOWSKI

Atak na Syrię ? **Aspekty strategiczne i operacyjne**



Pomimo zasadniczych wątpliwości co do okoliczności, sprawców i motywów niedawnego ataku chemicznego na przedmieściach Damaszku, wyrażanych przez znaczną część społeczności międzynarodowej, Stany Zjednoczone – przynajmniej oficjalnie i w wymiarze medialnym – prą do militarnej konfrontacji z Syrią. Jest to zarówno efekt wcześniejszych deklaracji politycznych ze strony administracji USA, jak i logiki geopolitycznych uwarunkowań, w jakich od samego początku toczy się konflikt syryjski. Zapowiedź prezydenta Baracka Obamy sprzed roku, że Ameryka „ukarze” reżim syryjski za ew. użycie w wojnie broni niekonwencjonalnej (co określono nawet mianem „nieprzekraczalnej czerwonej linii”), wyznaczało aż nazbyt wyraźne granice zachowania przez Waszyngton wstrzeźliwości wobec rozwoju sytuacji w Syrii. Stwarzało to jednak równocześnie pokusę zarówno wystawienia na próbę intencji i szczerości USA (zgodnie z pokerową zasadą „sprawdzania” przeciwnika), jak i dokonania przez różne ośrodki polityczne działań o charakterze prowokacyjnym, mającym skierować bieg wydarzeń w Syrii w pożądanym przez nie kierunku. Dziś wiele wskazuje na to, że w syryjskiej wojnie domowej możemy mieć właśnie do czynienia z tym ostatnim scenariuszem.

Do domniemanego¹ użycia przez reżim Baszira al-Assada broni chemicznej doszło bowiem w najkorzystniejszej dla władz w Damaszku sytuacji strategicznej, w trwającej od ponad dwóch lat wojnie. Z jednej strony, po kilku dobrze przygotowanych i skutecznie przeprowadzonych w ostatnich czterech miesiącach operacjach ofensywnych, siły lojalne wobec rządu syryjskiego notują zadziwiające pasmo sukcesów militarnych. W ich wyniku armia rządowa i wspierające ją formacje nieregularne (głównie libański Hezbollah, liczne milicje alawickie, szyickie i chrześcijańskie oraz „doradcy” irańscy) nie tylko zdołały powstrzymać napór rebeliantów, jak się jeszcze rok temu wydawało – niezwycięzonych, ale wręcz odzyskały inicjatywę strategiczną. Rebelianci od wiosny tego roku znajdują się faktycznie w defensywie, a ich niewielkie lokalne sukcesy operacyjne, choć medialnie nagłaśniane, nie są w stanie zmienić aktualnego strategicznego obrazu konfliktu. Sytuacja na froncie ustabilizowała się wzdłuż pozycji zajętych późną wiosną tego roku, co dla opozycji

¹ Pozostaniemy przy takim określeniu obecnej sytuacji w i wokół Syrii tak długo, jak długo Waszyngton nie ujawni posiadanych ponoć przez siebie „mocnych dowodów” na inny bieg wydarzeń w Syrii lub też, jak długo badania prowadzone pod auspicjami ONZ w Hadze nie potwierdzą wersji forsowanej przez administrację USA.



oznacza poważny problem – kontroluje ona co prawda znaczne połacie kraju (ok. 40 proc.), także wzdłuż granic (głównie z Turcją i Irakiem), ale nie jest w stanie zająć lub utrzymać najważniejszych ośrodków miejskich (czytaj: centrów administracyjnych, politycznych i gospodarczych kraju i przy tym głównych skupisk ludności), takich jak Aleppo, Latakia, Tartus, Homs, Qusair – o Damaszku już nie wspominając.

Z drugiej strony, ostatnie miesiące przyniosły syryjskim rebeliantom także inne problemy: utratę bezwarunkowego dotychczas poparcia politycznego i materialnego ze strony najważniejszych regionalnych protektorów (Turcji, Arabii Saudyjskiej, Kataru), a także dramatyczny (i brzemienny w skutkach) spadek akceptacji dla powstania i skali poparcia dlań ze strony sunnickiej większości ludności Syrii. Syryjscy sunnici mają już najwyraźniej dosyć antyrządowej rebelii, prowadzonej coraz wyraźniej nie w imię demokracji, wolności i praw człowieka, ale radykalnego islamu i restrykcyjnej wersji prawa koranicznego (*szariatu*). Z dwojga złego sunnici w Syrii wolą już zapewniającego im świeckość Alawitę Baszira al-Assada, niż „brodaczy” z Al-Kaidy. Mnożące się w minionych miesiącach przypadki jawnego występowania sunnickich mieszkańców wielu regionów Syrii przeciwko „rebeliantom” z Frontu al-Nusrah i innym islamistycznym bojówkom postawiły pod znakiem zapytania polityczną legitymizację całego antyassadowskiego powstania w Syrii.

W takiej fatalnej dla opozycji i rebeliantów sytuacji politycznej i militarnej – zdecydowanie najgorszej od początku wojny domowej w kraju – dochodzi nagle do krwawego, brutalnego ataku na ludność cywilną z użyciem bojowych środków chemicznych. Do tego na przedmieściach syryjskiej stolicy i co jeszcze ważniejsze – dosłownie pod bokiem przebywającej właśnie w Damaszku delegacji inspektorów ONZ, mających zbadać wcześniejsze doniesienia o użyciu w Syrii broni masowego rażenia. Zaiste, zadziwiający zbieg okoliczności ...

Powtórzmy wyraźnie: syryjskie władze nie miały absolutnie żadnego politycznego (subiektywnego) ani militarnego (obiektywnego) powodu dla zastosowania broni chemicznej, będącej – w ujęciu strategicznym – środkiem walki o charakterze ostatecznym, stosowanym zazwyczaj jako przysłowiowa „ostatnia deska ratunku”. Oczywiście nie oznacza to, że reżim al-Assada nie mógłby cynicznie wykorzystać swej relatywnie dobrej sytuacji strategicznej do zaatakowania rebeliantów z użyciem broni „C” i podjęcia następnie skomplikowanej



rozgrywki dyplomatycznej i propagandowo-medialnej z Zachodem, w której głównymi argumentami byłyby właśnie obiektywny brak uzasadnienia dla takiego ataku i obecność inspektorów ONZ w Damaszku. Tyle tylko, że zaatakowane „chemią” cele nie miały absolutnie żadnego związku z militarną aktywnością rebeliancką – ofiarami gazowania padła wyłącznie ludność cywilna, w tym setki dzieci. Teza o rzekomym piramidalnym spisku reżimu, mającym „przykryć” próbę dalszej poprawy własnej pozycji operacyjnej na froncie wokół Damaszku, nie trzyma się więc w tym przypadku żadnej logiki. Za to zadziwia ilość zdjęć, nagrań wideo (niekiedy półprofesjonalnych) i relacji naocznych świadków ataku, które dosłownie zalały internet i światowe media już w kilka godzin po incydencie. Całość sprawia wrażenie dobrze przygotowanej kampanii PR-owskiej i propagandowej, będącej częścią profesjonalnie przygotowanej operacji z gatunku walki psychologicznej (PSYOPS).

Pozostaje wciąż niewiadomą, kto mógłby dopuścić się tej ewentualnej prowokacji i użyć broni „C” pod Damaszkiem w dn. 21 sierpnia br., w celu skompromitowania i pogrążenia reżimu. Podejrzanych może być wiele ośrodków, zainteresowanych wciągnięciem USA i Europy w interwencję militarną przeciwko władzom w Damaszku. Są to zarówno kręgi opozycji syryjskiej, szczególnie te najbardziej ekstremistyczne, jak też różni aktorzy regionalni (a nawet, co ciekawie podsuwają ostatnio niektóre źródła bliskowschodnie, również pozaregionalni, zainteresowani w „skomplikowaniu życia” Stanom Zjednoczonym). Co ważne, powtarzane często w zachodnich mediach założenie, że na syryjskim teatrze działań wojennych tylko jedna strona – tj. siły lojalistyczne, prorządowe – dysponuje dziś arsenałami chemicznymi, nie odpowiada już od pewnego czasu rzeczywistości. Wiadomo bowiem, że armia syryjska już w pierwszych, najgorszych dla siebie miesiącach trwania konfliktu w kraju, utraciła kilka baz i instalacji wojskowych, w których były najpewniej składowane zasoby broni chemicznej. Środki te – głównie w postaci amunicji artyleryjskiej, pocisków moździerzowych i bomb lotniczych – wpadły najpewniej w ręce rebeliantów, być może także tych o islamistycznej proweniencji. Ich użycie jest zaś – z technicznego (taktycznego) punktu widzenia – równie proste, co wykorzystanie zwykłej amunicji konwencjonalnej. Nie ma oficjalnie potwierdzonych doniesień, że amunicja z czynnikami chemicznymi, znajdująca się w tych bazach, została ewakuowana przed ich przejściem przez



siły opozycyjne. Uwzględniając chaotyczne realia syryjskiej wojny domowej, należy więc raczej zakładać, że zasoby te wpadły w ręce rebeliantów.

Niezależnie jednak od tego, kto faktycznie zagazował pod Damaszkiem prawie 1,5 tys. ludzi, wydarzenie to zainicjowało procesy, które mogą odwrócić losy konfliktu syryjskiego. Choć wydaje się to cyniczne, to jednak śmierć owych kilkunastu setek cywilów – ofiar bojowych środków chemicznych – może zaważyć na losach wojny w Syrii o wiele bardziej, niż wcześniejsze niemal 100 tys. zabitych i poległych w wyniku stosowania przez 2,5 roku „zwykłych” środków prowadzenia wojny. Przy czym w kategorii „zwykły” mieści się zarówno współczesne konwencjonalne uzbrojenie wojskowe (broń strzelecka, RPG, artyleria, czołgi, lotnictwo itd.), jak też nieco mniej nowoczesne narzędzia walki: np. szabla (ew. topór lub nóż) w rękach islamskiego fanatyka z Al-Kaidy, ścinającego głowę wziętemu właśnie do niewoli żołnierzowi armii rządowej lub porwanemu chrześcijańskiemu duchownemu.

Na marginesie całej tej sytuacji – obecny kryzys syryjski to bardzo ważna lekcja dla różnej maści satrapów na całym świecie. O ile jeszcze w ogóle obawiali się wcześniej „Wuja Sama”, co nie jest już dziś czymś częstym, to obecnie wiedzą już, że Ameryka nie jest w stanie (politycznie, militarnie, moralnie) spełniać roli „międzynarodowego żandarma” (w białych rękawiczkach czy bez). Inną lekcją, jaką różni dyktatorzy mogą wyciągnąć z sytuacji w Syrii, jest fakt, że można bezkarnie wyrzynać własnych obywateli – przynajmniej tak długo, jak długo stosuje się „konwencjonalne” środki walki. Może zginąć nawet 100 tys. ludzi (albo, jak w Rwandzie, ponad milion), a Waszyngton nie okaże oburzenia i gniewu. Jeśli jednak zastosowana zostanie broń masowego rażenia, to bez względu na ilość ofiar karząca reakcja Ameryki jest gwarantowana...Pozostawmy to bez komentarza.

Kwestia wspomnianych poważnych wątpliwości co do natury wydarzeń, jakie miały miejsce koło Damaszku w dn. 21 sierpnia br. oraz odpowiedzialności za nie, zdaje się być na tyle istotna i frapująca (przynajmniej opinię publiczną), że wbrew pierwszym na gorąco wygłaszanym na Zachodzie wojowniczym komentarzom i ocenom polityków, ostatecznie „na polu walki” pozostały wyłącznie Stany Zjednoczone. Ani Wlk. Brytania, ani sojusznicy regionalni, ani nawet Francja, o innych partnerach z NATO już nie wspominając, nie pałą się



do udziału w tej póki co wątpliwie uzasadnionej kampanii militarnej. W odróżnieniu od Waszyngtonu, pozostałe stolice zachodnie miały jednak relatywnie lepszą sytuację strategiczną – żadna z nich wcześniej nie zadeklarowała „warunków brzegowych” swego otwartego zaangażowania w syryjski konflikt. Biały Dom, przeciwnie, określił takie warunki i dzisiaj jest właśnie „sprawdzany”, czy aby nie „blefuje”. Jest to w prostej mierze efekt otwartej zapowiedzi prezydenta Baracka Obamy sprzed roku o potraktowaniu przezeń ew. użycia przez władze w Damaszku broni niekonwencjonalnej jako „czerwonej linii”, której przekroczenie skutkować będzie podjęciem przez Waszyngton (i w domyśle także inne kraje zachodnie) akcji zbrojnej przeciwko reżimowi al-Assada. Administracja USA znalazła się więc obecnie faktycznie w sytuacji bez wyjścia – wcześniejsze zapowiedzi skutecznie wiążą jej ręce i determinują kierunek podejmowanych działań wobec Syrii: „obiecaliśmy użyć siły, gdy reżim sięgnie po broń „C”, musimy więc dziś wywiązać się z tych zapowiedzi.”

Uwarunkowania strategiczne

Problem w tym, że brak wsparcia ze strony sojuszników zachodnich, nie mówiąc już o szerszym konsensusie międzynarodowym (zwłaszcza na forum ONZ) ponownie, jak za czasów tak krytykowanego przez Baracka Obamę prezydenta G.W. Busha juniora, stawia Amerykę w roli brutalnego „światowego żandarma”, działającego samodzielnie, w oparciu o równie samodzielnie wytyczane i realizowane reguły gry. A przecież obecny prezydent tak bardzo chciał przejść do historii jako ten, który nie tylko zakończył dwie najdłuższe wojny w dziejach USA (Irak i Afganistan), za co zresztą m.in. dostał pokojową nagrodę Nobla, ale też skutecznie zmienił niekorzystny *image* Ameryki w świecie. Syryjska „awantura” może tymczasem skutecznie pokrzyżować te plany.

Co więcej, Syria cieszy się otwartym i ostantacyjnym poparciem ze strony dwóch ważnych graczy globalnych – Rosji i Chin, z roku na rok coraz bardziej kontestujących i testujących (także właśnie w Syrii!) działania i politykę światową USA. Rozgrywka syryjska ewidentnie staje się więc grą na poziomie globalnym, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Tym samym wszelkie decyzje wobec konfliktu syryjskiego muszą być dzisiaj w Waszyngtonie rozpatrywane przede wszystkim przez pryzmat ich ew. skutków dla globalnych, fundamentalnych interesów Stanów Zjednoczonych. Te zaś, wbrew



propagandowym, medialnym tezom Obamy, dotyczą dziś bardziej relacji i współzawodnictwa z rosnącymi w siłę Rosją i Chinami, niż kwestii Syrii. Obecna administracja musi więc postawić sobie zasadnicze pytanie: czy warto, w imię fałszywie pojętych wartości, „umierać za Damaszek” i ryzykować tym samym dramatyczne wystawienie na szwank podstawowych, żywotnych („twardych”) interesów geopolitycznych kraju, od których zależy los przyszłych pokoleń Amerykanów ?

Oświadczenie prezydenta USA, wygłoszone 31 sierpnia br., może być pierwszą oznaką refleksji i otrzeźwienia w Białym Domu. Zastosowanie „strategii brytyjskiej”, czyli przerzucenie ciężaru podjęcia decyzji o ew. ataku na Kongres USA, jest sprytnym zabiegiem politycznym, który – tak jak w Londynie – może w istocie zakończyć całą wrzawę medialną wokół „kwestii syryjskiej” i zepchnąć ją na dalsze pozycje w nagłówkach codziennych wiadomości. Scedowanie decyzji na amerykański parlament, który będzie mógł się całą sprawą zająć dopiero po zakończeniu swych letnich wakacji (kończących się oficjalnie 8 września), nie tylko odwleka w czasie konieczność podjęcia konkretnych działań militarnych, ale co ważniejsze daje również szansę na uniknięcie uwikłania Ameryki w kolejną wojnę na Bliskim Wschodzie, przy jednoczesnym zachowaniu twarzy przez prezydenta. Jeśli bowiem Kongres zagłosuje na „nie”, Barack Obama zawsze będzie mógł twierdzić, że przecież on i jego administracja chcieli ukarać reżim w Damaszkach za użycie zakazanej broni przeciwko cywilom, ale ostatecznie najważniejsze jest to, że „demokracja w USA zwyciężyła”, co „wzmocniło kraj i naród”. Wszak „*vox populi - vox Dei*”, a prezydent USA – laureat pokojowej nagrody Nobla ! – zachował się w tej materii, co by nie mówić, znacznie bardziej demokratycznie, niż jego poprzednik na urzędzie, który miał demokratycznie wybranych reprezentantów narodu w niewielkim poważaniu, gdy rozpoczynał operację w Iraku w 2003 r.

Gdyby jednak Kongres, zgodnie z rzeczywistymi bądź domniemanymi intencjami Białego Domu, zagłosował za wojną, to do momentu podjęcia tej decyzji (ok. 9 – 10 września) administracja zyskuje cenny czas. Może go poświęcić na gorączkowe próby zbudowania jakiejś międzynarodowej „koalicji chętnych” (tu należy spodziewać się silnej presji, a nawet zawołanego szantażu, wobec np. państw „nowej Europy” czy sojuszników USA w regionie bliskowschodnim), na lepsze rozpoznanie celów czy ogólne organizacyjno-



logistyczne przygotowanie operacji. No i wreszcie, *last but not least*, Waszyngton będzie mieć szansę na wzmocnienie przez ten ponad tydzień swego niezbyt dziś imponującego potencjału militarnego na przyszłym teatrze działań (patrz dalej). Jest to szczególnie ważne wobec faktu, że nie może już być przecież dziś mowy o możliwości uzyskania efektu strategicznego i operacyjnego zaskoczenia wobec Syryjczyków.

Co równie istotne, w ciągu tych najbliższych 8 – 10 dni będziemy już także zapewne znać wstępne rezultaty badań próbek, pobranych w Syrii przez ekipy ONZ. Wyniki tych analiz i pierwsze oceny polityczne, formułowane na ich podstawie, mogą być decydujące zarówno dla samego głosowania w Kongresie USA, jak i dla dalszej postawy wielu niezdecydowanych dziś (bądź sceptycznych) sojuszników Ameryki. A być może nawet dla przyszłej postawy Rosji i Chin, w sytuacji, gdy autorytet ONZ poparłby narrację prezentowaną dziś samodzielnie przez Waszyngton.

Uwarunkowania operacyjne

Jaką formę mogłaby przyjąć ew. operacja USA przeciwko Syrii? Jak powtarza prezydent Obama i jego najważniejsi współpracownicy, głównym celem ma być „ukaranie” reżimu Baszira al-Assada za użycie broni chemicznej. Urzędnicy Białego Domu zastrzegają przy tym, że nie wchodzi w grę opcja „boots on the ground”, czyli wysłanie do Syrii jednostek sił lądowych (*Army*) i korpusu Piechoty Morskiej (*Marines*) USA. Co wydaje się całkowicie zrozumiałe, biorąc pod uwagę fakt, że w niespełna dwa razy większym od Syrii (choć w znacznej części pustynnym) Iraku nawet ponad 100-tysięczna armia amerykańska nie była w stanie dać sobie rady z tamtejszymi rebeliantami. Prawda jest taka, że Stany Zjednoczone nie byłyby dziś w stanie przygotować, przeprowadzić ani tym bardziej wygrać w regionie bliskowschodnim wojny lądowej w średniej wielkości kraju, wymagającej wieloletniego (rotacyjnego) zaangażowania co najmniej 1/2 całości sił zbrojnych. Taka jest niestety cena, jaką amerykańskie imperium musi dziś płacić za błędne decyzje rządzących, dotyczące rozwoju potencjału militarnego i zdolności wojskowych państwa, podejmowane w ostatnich dwóch dekadach. Ten stan rzeczy w oczywisty sposób determinuje też zakres i charakter amerykańskiej reakcji militarnej. Wiele wskazuje na to, że Waszyngton może dziś zareagować (w Syrii lub gdziekolwiek indziej) już tylko wyłącznie symbolicznie.



Analizując obecny potencjał, możliwości operacyjne i zdolności Stanów Zjednoczonych w ewentualnym konflikcie z Syrią, obracamy się więc wyłącznie w zakresie operacji o charakterze uderzeń powietrzno-rakietowych. Sformułowanie „ukaranie” reżimu al-Assada jest przy tym na tyle szerokie znaczeniowo i nieprecyzyjne, że może w istocie oznaczać co najmniej trzy zasadnicze opcje działania Amerykanów (i ew. ich sojuszników w tej kampanii):

1) Opcja minimum – skromna w swych rozmiarach i zasięgu operacja wojskowa, czyli w istocie symboliczne uderzenie w równie symboliczne cele na terenie Syrii: np. pałac prezydencki al-Assada, siedziby głównych władz i instytucji politycznych oraz wojskowych, ew. główne bazy wojskowe. Przewidywany czas trwania – od 12 do 48 godzin. **Co ważne, siły i środki USA do przeprowadzenia tego typu kampanii są już zgromadzone i operacyjnie gotowe w regionie.**

2) Opcja pośrednia – dążenie do zniszczenia (lub co najmniej poważnego osłabienia) potencjału militarnego reżimu, zbliżona do działań sojusznicznych w Libii w 2011 r.. Operacja znacznie poważniejsza co do swej skali, czasu trwania i potrzebnych zasobów. **W chwili obecnej brak jednak sił i środków militarnych USA w regionie** dla potrzeb samodzielnego przeprowadzenia tego typu działań.

3) Opcja maksimum – zakrojona na szeroką skalę akcja militarna, w postaci długotrwałej kampanii zmasowanych uderzeń powietrznych i rakietowych, wymierzonych w szeroką gamę celów wojskowych, politycznych i infrastrukturalnych przeciwnika, mająca na celu faktyczne usunięcie obecnych władz w Damaszku (*casus* NATO-wskiej operacji przeciwko Serbii w 1999 r. lub izraelskiej akcji wymierzonej w Hezbollah w Libanie latem 2006 r.). **Aktualnie USA nie mają jednak w regionie bliskowschodnim wystarczających zdolności operacyjnych do samodzielnego podjęcia tego typu działań.**

Warto odnotować, że każda spośród tych opcji amerykańskiego działania wobec Syrii nieść będzie ze sobą szereg negatywnych konsekwencji politycznych i strategicznych dla Waszyngtonu, przy czym oczywiście skala tych skutków rosnąć będzie wraz ze wzrostem zakresu zaangażowania zbrojnego USA. Szczególnie ważny jest tu kontekst Rosji, która utrzymuje w Syrii przynajmniej jedną instalację wojskową (w Tartus), gdzie przebywa kilkuset rosyjskich żołnierzy i „doradców”. Ewentualne przypadkowe zbombardowanie przez



Amerykanów tej bazy niesłoby konsekwencje trudne do przewidzenia. To samo dotyczy ewentualności (trudnej do wykluczenia) przypadkowego zbombardowania przez siły USA obiektów/celów, zajmowanych przez irańskich sojuszników al-Assada.

Opóźnienie możliwej daty podjęcia działań przeciwko Syrii, związane z koniecznością uzyskania aprobaty Kongresu, daje jednak Waszyngtonowi, jak już wspomniano, czas na wzmocnienie jego potencjału na obszarze Morza Śródziemnego i Bliskiego Wschodu, o ile zamiarem USA nie jest wyłącznie symboliczne „ukaranie” Damaszku. Warto więc w najbliższych dniach śledzić doniesienia na temat ruchów amerykańskich jednostek i sił w regionie bliskowschodnim, akwenie Morza Śródziemnego czy południowej Europie. Informacje o szybkim i jakościowo istotnym wzmacnianiu potencjału militarnego USA w tej części świata – szczególnie w kategorii sił powietrznych i marynarki wojennej – mogłyby bowiem sugerować, że faktyczne intencje i plany Białego Domu wobec Syrii plasują się gdzieś pomiędzy wspomnianymi wyżej opcjami nr 2 i nr 3.

Jak zaznaczono, obecnie potencjał USA w regionie basenu Morza Śródziemnego i regionach przyległych (Europa, Bliski Wschód) nie daje możliwości podjęcia działań militarnych na szerszą skalę. W obszarze odpowiedzialności (AOR) VI Floty USA (basen Morza Śródziemnego) Pentagon dysponuje obecnie, nie licząc jednostek pomocniczych i zaopatrzeniowych, zaledwie pięcioma niszczycielami klasy „*Arleigh Burke*” (DDG 51 i DDG 1000), jednym okrętem desantowym z piechotą morską na pokładzie (ok. 800 ludzi, czyli ekwiwalent brygady, wraz ze sprzętem ciężkim) oraz być może jednym okrętem podwodnym. Choć teoretycznie każdy z okrętów klasy *Burke* może przenosić nawet do 100 rakiet samosterujących typu „Tomahawk”, to zazwyczaj ma ich na pokładzie zaledwie ok. 40. To oczywiście wciąż duża siła precyzyjnego rażenia odległych celów na lądzie, ale zdecydowanie niewystarczająca do prowadzenia dłuższych i zakrojonych na większą skalę działań zbrojnych.

Jeszcze gorzej przedstawia się sytuacja w zakresie lotnictwa bojowego. W obszarze odpowiedzialności VI Floty USA nie operuje na stałe żaden lotniskowiec ze swoją grupą bojową, którego samoloty pokładowe mogłyby zasilić potencjał lotnictwa bojowego USA w tej części świata. Przebywające czasowo w AOR VI Floty lotniskowce amerykańskie przepływają jedynie przez ten rejon w drodze na Bliski Wschód (czyli obszar V Floty USA)



lub z powrotem. W połowie sierpnia br. przez AOR VI Floty przemieszczał się właśnie w ten sposób USS „Harry Truman” ze swą eskortą, w drodze na Morze Arabskie, gdzie zluzował tydzień temu (w ramach rutynowej rotacji) grupę lotniskowca USS „Nimitz”. Ten ostatni opóźnia nieco odejście z regionu², co może mieć związek właśnie z sytuacją wokół Syrii. Lotnictwo pokładowe z obu lotniskowców (łącznie niemal 150 maszyn różnych typów) mogłoby teoretycznie zostać wykorzystane w ew. działaniach nad Syrią, nawet operując z obszaru Morza Arabskiego. Jednakże odległość pomiędzy potencjalnymi celami a macierzystymi okrętami wymagałaby tankowania w powietrzu, co znacznie komplikuje operację. Problemem byłby też wielokrotny przelot maszyn amerykańskich przez obszar powietrzny wielu państw regionu. Sytuację poprawiłoby wprowadzenie lotniskowca(ów) na wody Zatoki Perskiej, wydaje się to jednak mało realne ze względu na ryzyko możliwych działań odwetowych Iranu (sojusznika Syrii) w przypadku wybuchu wojny. Irańskie zdolności skutecznego „zamknięcia” łączącej Zatokę ze światem Cieśniny Ormuz nie są czymś abstrakcyjnym i Amerykanie na serio biorą pod uwagę ten element sytuacji strategicznej regionu. Innym problemem jest fakt, że maszyny z lotniskowców operujących na wodach Morza Arabskiego są intensywnie wykorzystywane w operacjach nad Afganistanem, i ich ew. odciążenie do długotrwałych działań w Lewancie miałyby potencjalnie niekorzystne skutki operacyjne dla działań sił ISAF. Rozwiązaniem tego operacyjnego dylematu mogłoby być nadzwyczajne wydłużenie misji okrętów z grupy USS „Nimitz” i pozostawienie ich na wodach Morza Arabskiego do dalszego pełnienia zadań w ramach „afgańskiej” operacji „Enduring Freedom”, przy równoczesnym skierowaniu lotniskowca USS „Harry Truman” i jednostek jego grupy na wody Morza Czerwonego (dotarłyby tam w ciągu 3 dni), skąd samoloty bojowe z bazowanego na „Trumanie” skrzydła CVW-3 mogłyby bez problemu operować nad Syrią³.

² USS „Nimitz” dyslokowany jest w bazie US Navy w Everett w stanie Waszyngton, jego trasa powrotna z Bliskiego Wschodu wiedzie więc przez Ocean Indyjski, region Azji Południowo-Wschodniej i Pacyfik.

³ Geografia i amerykańskie oszczędności budżetowe w wydatkach na obronność robią swoje. Marynarka Wojenna USA nie ma dziś w „pobliżu” bliskowschodniego teatru działań żadnego innego lotniskowca. Najbliższy, USS „Georg H. W. Bush”, znajduje się co prawda na zachodnim Atlantyku, ale nie jest obecnie przystosowany do pełnienia służby bojowej (przechodzi rutynowe próby i testy). Inny „najbliższy” lotniskowiec to USS „George Washington”, który wrócił tydzień temu do swej macierzystej bazy w Jokosuce (Japonia). Zakładając nawet, że wyjdzie w najbliższym czasie w morze w trybie alarmowym i skieruje się na Ocean Indyjski/Morze Arabskie, dotarcie do celu zajmie mu ok. 8-10 dni.



Z kolei siły powietrzne USA w Europie mogłyby, według ostrożnych szacunków wystawić zaledwie ok. 50 maszyn różnego typu, do tego po przerzuceniu ich do baz na Krecie lub ew. Grecji, Turcji czy Jordanii. Zgoda tych państw jest jednak póki co wątpliwa, choć ich postawa może się oczywiście zmienić po opublikowaniu korzystnych dla stanowiska USA wyników badań ekip ONZ. Amerykanie dysponują jeszcze w regionie bliskowschodnim ograniczoną liczbą samolotów bojowych dyslokowanych w bazach w Omanie i Kuwejcie, nie są to jednak póki co siły zdolne odegrać istotną rolę w ew. konflikcie syryjskim. Niektóre instalacje USA w regionie (Oman) i jego otoczeniu (baza USAF na wyspie Diego Garcia na Oceanie Indyjskim) są w stanie przyjmować i obsługiwać strategiczne komponenty lotnictwa wojskowego Stanów Zjednoczonych (bombowce B-1, B-2). Baza USAF w Omanie ma mieć ponadto zdolność bazowania niewidzialnych dla radarów myśliwców typu F-117a.⁴

Podsumowanie

Najbliższe dni będą decydujące dla dalszego rozwoju sytuacji wokół Syrii. Kluczowe elementy tego procesu to:

- wyniki badań próbek zebranych przez ekipę ONZ w Syrii;
- przebieg wewnętrznych politycznych debat i uzgodnień w Kongresie USA;
- reakcje i działania pozostałych głównych (obok Ameryki) graczy w rozgrywce syryjskiej, zwłaszcza Rosji, Chin i Iranu;
- skala i zakres rozbudowy (wzmacniania) potencjału militarnego USA w szeroko ujętym regionie bliskowschodnim, wskazujące pośrednio na rzeczywiste intencje i cele Waszyngtonu w razie podjęcia przezeń operacji militarnej;

Czynniki te bez wątpienia wymagają w najbliższym czasie uważnego monitoringu i analizy. Bez względu na okoliczności, Amerykanie nie są jednak w stanie samodzielnie przeprowadzić zakrojonej na szerszą skalę operacji. Bez wsparcia sojuszników zachodnich działania USA mogą mieć charakter jedynie symboliczny – i jako takie nie przyczynią się ani do zmiany strategicznego *status quo* w syryjskiej wojnie domowej, ani też nie wpłyną w pożądanym przez Waszyngton sposób na jej geopolityczne uwarunkowania. W wyniku takich symbolicznych, ograniczonych działań Waszyngtonu syryjscy rebelianci nie odzyskują

⁴ Co oczywiste, zarówno maszyny typu F-117a, jak i B-2 są w stanie dolecieć nad cele w Syrii (i powrócić), operując z baz położonych na terytorium Stanów Zjednoczonych.



przewagi strategicznej nad siłami al-Assada i jego sojuszników, a Iran nie zrezygnuje z aktywnego wspierania przyjaznego mu rządu w Damaszku. Wręcz przeciwnie, działania Teheranu mogą w takiej sytuacji nabrać jeszcze większego rozmachu – o ile dzisiaj kilka tysięcy irańskich żołnierzy z Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej walczy w Iranie półoficjalnie, o tyle w razie operacji militarnej USA Iran mógłby porzucić grę pozorów i wesprzeć al-Assada całkiem jawnie, wysyłając (np. via Irak) do Syrii korpus ekspedycyjny liczący kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

Z polskiej perspektywy uwagi wymaga też reakcja Rosji wobec dalszego rozwoju kryzysu syryjskiego – jego zaostrzenie, m.in. w wyniku amerykańskiej operacji zbrojnej, może popchnąć Moskwę do działań (głównie równie symbolicznych), wymierzonych w amerykańskie (zachodnie) interesy w Europie Wschodniej (Ukraina) i Zakaukaziu (Gruzja, Azerbejdżan).

W tym kontekście należy też pamiętać o faktycznym uzależnieniu Stanów Zjednoczonych i NATO od przychylności Rosji w zakresie udostępniania siłom zachodnim dróg ewakuacji sprzętu i wyposażenia z Afganistanu. Pakistański szlak lądowy wciąż jest niepewny i nie w pełni dostępny, a ten wiodący na zachód przez Azję Środkową i Rosję – jako *de facto* jedyny z dostępnych – ma swoją geopolityczną cenę, która musi być uwzględniana przez Waszyngton w kalkulacjach strategicznych. Być może ceną, jakiej zażąda Moskwa, będzie rezygnacja przez Amerykę z opcji militarnej przeciwko Syrii.

*Tezy przedstawiane w serii „Biuletyn OPINIE” Fundacji Amicus Europae
nie zawsze odzwierciedlają jej oficjalne stanowisko !*



Kontakt

**Fundacja Aleksandra Kwaśniewskiego
„Amicus Europae”**

Aleja Przyjaciół 8/5
00-565 Warszawa

Tel. +48 22 622 66 33

Tel. +48 22 622 66 03

Fax:+48 22 629 48 16

email: fundacja@fae.pl, www.fae.pl

Biuletyn OPINIE FAE nr 16/2013

Atak na Syrię?
Aspekty strategiczne i operacyjne

Autor: Tomasz Otłowski

Ekspert Fundacji *Amicus Europae* oraz Fundacji Pułaskiego, komentator portalu „Wirtualna Polska”, publicysta.

Właściciel firmy konsultingowo-szkoleniowej STRATCONS Strategic Consulting & Training (www.stratcons.pl).

Były wieloletni ekspert i analityk ds. bezpieczeństwa międzynarodowego w administracji państwowej RP.

Autor książki „[Cmentarzysko imperiów. Afganistan 2001-2014](#)”.



Nadrzędną misją **Fundacji AMICUS EUROPAE** jest popieranie integracji europejskiej, a także wspieranie procesów dialogu i pojednania, mających na celu rozwiązanie politycznych i regionalnych konfliktów w Europie.

Do najważniejszych celów Fundacji należą:

- Wspieranie wysiłków na rzecz budowy społeczeństwa obywatelskiego, państwa prawa i umocnienia wartości demokratycznych;
- Propagowanie dorobku politycznego i konstytucyjnego Rzeczypospolitej Polskiej;
- Propagowanie idei wspólnej Europy i upowszechnianie wiedzy o Unii Europejskiej;
- Rozwój Nowej Polityki Sąsiedztwa Unii Europejskiej, ze szczególnym uwzględnieniem Ukrainy i Białorusi;
- Wsparcie dla krajów aspirujących do członkostwa w organizacjach europejskich i euroatlantyckich;
- Promowanie współpracy ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki, szczególnie w dziedzinie bezpieczeństwa międzynarodowego i rozwoju gospodarki światowej;
- Integracja mniejszości narodowych i religijnych w społeczności lokalne;
- Propagowanie wiedzy na temat wielonarodowej i kulturowej różnorodności oraz historii naszego kraju i regionu;
- Popularyzowanie idei olimpijskiej i sportu.